

# PLONICYZEK

ROK 29

TYGODNIK DLA MŁODSZYCH DZIECI

26. XI. 1950

Nr

13



Listonosz przyszedł do szkoły

Cena 45 g



# LISTOPAD i dzieci

— Co robić? — myśli dzieci gromada. — Iść na boisko? Deszcz ciągle pada... Można by sobie pograć w „dwa ognie“, lecz deszcz — kap... kapu... wnet każdy zmoknie. Jakże tu krzyżeć zwycięskie „hura!“, kiedy gracz w gracza jak zmokła kura...

— Żebyż się prędzej skończyła jesień! Zima ślizgawkę, sannę przyniesie!

Wtem woła Stefek:

— Ha! Myśl mam cudną! Skrócić listopad wcale nie trudno. Tak jak dziś mamy dzień szkolny krótszy, niech jutro nie będzie „jutro“, tylko od razu „pojutrze“.

— Ach, doskonale! Tak będzie najprościej. Byle tylko kalendarz nie robił trudności.

— Och, kalendarzu — wołają dzieci — spraw, niech listopad prędzej przeleci! Chociaż na jutro wypada środa, niech będzie czwartek. No, powiedz, zgoda?

A może taki projekt bardziej ci odpowiada? Wyrzucimy cały tydzień z listopada! Niech jutro będzie środa, lecz nie ta jutrzejsza, tylko o cały tydzień późniejsza. A na dacie w zeszytach zrobimy kleksy — i kwita! Nikt nie pozna, co to za środa.

No, dobrze, panie kalendarzu, zgoda?

Kalendarz tylko się uśmiecha: „Oj, z dziećmi uciecha!“

Wtem widzi dzieci gromada za oknem postać „Listopada“. Ma burą chmurę zamiast kapelusza, groźnie brwiami porusza i mówi:

— Co to za żarty? Nie wolno pominać żadnej kalendarza karty! Czy

to listopad, czy grudzień, skrócić nie mogą go ludzie!.

A na to dzieci:

— Drogi „Listopadzie“, zrób tę przyjemność naszej gromadzie i — nie mówiąc dzisiaj nikomu — jutro zupełnie nie wychodź z domu. Lepiej naprawdę pozostać w łóżku, gdzie ciepła koldra, miękka poduszka...

Słucha „Listopad“. Już brwi nie marszczy, tylko się śmieje, co sił mu starczy. A z tego śmiechu — ciężka i hura wnet się rozwiała znad głowy chimura. Przestał deszcz padać. Już słońce świeci.

— Ach, dziękujemy! — wołają dzieci. — Gdy słońcem błyskasz i jest pogoda, może być jutro zwyczajna środa.

M. Rosińska



# O NOWYM i URWANYCH

# SCYZORYKU GUZIKACH

— Popatrz, jaki ładny!

Wojtek trzyma na dłoni nowy, błyszczący scyzoryk i pokazuje to temu, to owemu koledze.

— Dostałem go od wuja — wyjaśnia ciekawym.

Ten i ów ciekawski ogląda scyzoryk, cmoka z podziwu i po cichutku zazdrości. Ach, jaki ten Wojtek szczęśliwy!

A szczęśliwy Wojtaszek rozkłada scyzoryk i wylicza jego zalety:

— O, jakie ostrza, jak brzytwy. A tu śrubokręt. Do wszystkiego się nada mój scyzoryk.

Ten i tamten gapi się z rozdziawioną buzią i aż wzdycha z żalu, gdy Wojtek chowa wreszcie scyzoryk do kieszeni.



Tych kieszeni u bluzki ma Wojtek akurat cztery. Ale trzech z nich nie można nazywać kieszeniami. A dlaczego? A dlatego, że brak im guzików, bo je Wojtek pogubił. Kieszeń bez guzika nie jest pewnym schowkiem, wiadomo!

Zaś na każdej pauzie scyzoryk co chwila miga w rękę Wojtka i co chwila szust! opuszcza się na dno kieszeni. Czasem trafi do tej z guzikiem, ale najczęściej spoczywa w którejś z tych trzech, co są bez guzików.

A do gimnastyki trzeba bluzkę zdjąć.

— Raz! dwa! Kto pierwszy?

Jeden drugiego popędza. Marudzić nie można, bo już jest po dzwonku. Pan od gimnastyki nie lubi marudów.

Wojtek do marudów nie należy. Trzask! prask! i już bluzka leży, rzucana z impetem na ławę. W szumie i gwarze nawet nie słychać, że coś z niej wylatuje i koziółkuje w kącie na podłodze. I leży sobie, i nawet nie piśnie przez cały czas lekcji.

Dzwonek terkoce po trzech kwadransach.

— Dzieci, kończymy!

Dzwonek i nauczyciel wzwijają, żeby się ubierać. Wojtek, prędko do wszystkiego, przepycha się w to miejsce, gdzie leży jego przyodziewek, łapie za bluzkę, suwa po niej rękami i naraz, jak nie wrześnie:

— Gdzie mój scyzoryk? Nie ma mojego scyzoryka!



Powstaje harmider. Wszyscy się tłoczą wokół Wojtka, który kręci się w miejscu jak opętany, drze się wniebogłosy i po raz dziesiąty wraca kieszenie szukając zguby.

— Oddajcie mi mój scyzoryk! — krzyczy, rozzłoszczony, na kolegów i tupie nogami, i wygraża pięściami.

— Oddajcie natychmiast, bo ja wam pokażę...

— Co pokażesz zuchu? — odzywa się na to czyjś głos. — Pokaż lepiej, jakie masz kieszenie!

Parę rąk chwyta bluzkę Wojtka i rozkłada ją na widoku.

ce ubiera się i ze wstydu nie śmie spojrzeć nikomu w oczy. Zwleka z ubieraniem, czeka, aż wszyscy pójdą sobie z sali.

A potem dopada do swojej teczki w klasie, porywa ją i pędem leci do domu. Zziąjany i rozczzerwieniony staje przed mamą.

— Co się stało? Ściga cię kto? — pyta go mama.

— Mamo, gdzie igła z nitką i gdzie guziki? — mamroce, ledwie łapiąc oddech.

— Zaraz, zaraz, przecie się nie pali — uspokaja mama i uśmiecha



— O, tu nie ma guzika! Tu nie ma drugiego! A tu trzeciego! Macie go, jaki elegant! Cha! cha! cha!

Śmiech huczy w sali, aż się rozlega.

— Poszukaj no lepiej pod ławą, zamiast głupstwa opowiadać!

W Wojtku aż dech zapiera ze strachu o zgubę i ze złości na tych wszystkich śmieszków. Włazi pod ławę, maca wokół i przepatruje ciemny kąt.

— Jest! — szepcze po chwili ucieszony.

Ze scyzorykiem w zaciśniętej rę-

się, bo się domyśla, że widać tam w szkole ten Wojtek-wiercipięta miał jakiś kłopot z brakującymi guzikami. — Poczekaj, po obiedzie sama ci przyszyję.

— Nie, ja sam... ja sam to zrobię.

— No, już dobrze, już idę szukać.

Gdy mama podaje na stół talerz z jadłem, Wojtek nawet nie spojrzy, co tam na talerzu. Jest zajęty. Guziki przyszywa. Przyszywa starannie. I mocno, mocno, jak najmocniej.

Wincenty Burek

Rys. H. Sottan

# BRYGADA MAKOWSKIEGO

W stocznii robota aż kipi,  
pełne są pracy ręce.  
O jednym myśli brygada:  
by lepiej, by piękniej i prędzej...

Żeby ten nowy statek  
z polskiego drzewa i stali  
był lepszy niż wszystkie inne,  
co płyną po morskiej fali.

Żeby na jego banderze,  
gdy wiatr ją lekko muśnie,  
wesolo, dumnie trzepotał  
naszej brygady uśmiech.

Wzbily się w górę mewy,  
plusnęły fale przy brzegu.  
Wypłynął na morze statek  
„Brygada Makowskiego“.

Patrzy na statek brygada,  
a duma w oczach płonie:  
„W nim radość jest naszych myśli  
i siła naszych dłoni...”

Uderza o burtę statku  
fala błękitna, słona.  
W świat płynie na pełne morze  
bandera biało-czerwona.

Cz. Janczarski



Rys. H. Przędzicka



# NOWY TOWARZYSZ

Najedzony człowiek odrzucił daleko od siebie ogryzioną kość i wyciągnął się przy ognisku. Było mu dobrze i ciepło. Leżąc spoglądał od czasu do czasu w głąb puszczy. Wprawdzie ogień odstraszał dzikie zwierzęta, ale trzeba było ciągle mieć się na baczności.

Nagle rozległ się jakiś szelest. Ścisnął w ręce drewnianą, nabijaną kamieniami maczugę i uważnie spojrział w stronę, skąd dochodziły ciche i skradające się kroki jakiegoś zwierzęcia.

Z gęstwiny wysunęła się spiczasta morda, a za nią całe ciało podobnego do wilka zwierzęcia. Człowiek nie ruszył się. Nie pierwszy raz już widział to zwierzę. Ile razy upolował jakąś zwierzynę, ilekroć zasiadł

przy rozpalonym ognisku, żeby się pożywić, w gęstwinie zjawiał się ten dziwny towarzysz, jakby czekając na koniec uczyty. Nie rzucał się, nie podchodził zbyt blisko. Czekał. Kiedy człowiek odrzucił kość lub niedojedzony ochłap mięsa, zwierzę chwyciło je w zęby i siadlszy spokojnie opodał, chrupało sinakowity kąsek.

Wiedząc, że nic mu nie grozi, człowiek położył się wygodniej i zaczął drzemać. W pewnej chwili doleciało go jakieś dziwne warczenie. Człowiek pierwotny przywykł spać czujnie. Zerwał się więc natychmiast. Ognisko przygasło, zaledwie kilka gałązek tliło się pod popiołem. W zapadającym zmroku człowiek dojrzał swego zwierzęcego towarzysza. Stał on ze zjezoną na grzbiecie sierścią, na sztywnych łapach i z obnażonymi kłami. Z otwartej paszczy dobiegało złowrogie warczenie. Dalej, w głębi lasu, połyskiwały ogniki w oczach kilku, zapewne głodnych, gotujących się do skoku wilków. Gdyby nie czujność zwierzęcia, człowiek byłby już zginął pod ich kłami.

Nie było chwili do stracenia. Człowiek chwycił garść suchego chrustu i rzucił w ogień. Posypały się iskry i płomień buchnął w górę. Wilki cofnęły się trochę. Człowiek rozpaloną gałęzią począł machać w kierunku napaetników. Jego obrońca, wystraszony, odskoczył także, ale człowiek zawołał na niego przyjaź-





nie i łagodnie. Zwierzę przystanęło. I ono widać czuło, że człowiek nie chce mu szkodzić, a przeciwnie, może mu teraz przyjść z pomocą.

Słabnący szelest krzaków oznajmił, że wilki oddaliły się w głąb puszczy. Człowiek sięgnął po pozostały jeszcze kawał mięsa. Oderwał część i podał swemu obrońcy. Zwierzę zwinęło zapach i powoli zbliżało się do ogniska. Człowiek zachęcił je głosem. Zwierzę przysunęło się znowu i błyskawicznym ruchem pochwyciło ochłap natychmiast odskakując w tył.

Człowiek roześmiał się. Podobało mu się to zwierzę. Chciałby je zatrzymać przy sobie. Ostrzegło go przecież przed niebezpieczeństwem. A może przyda się jeszcze w potrzebie?

Kiedy nazajutrz rano powracał do swej odległej jaskini, zwierzę hukiem, krzakami pomykało za nim.

Już nie opuściło człowieka. Zamieszkało przy jego pieczarze, a z nadejściem wiosny urządziło sobie w kącie legowisko, w którym przyszły na świat małe i bezradne szczenięta.



Pies — gdyż tak nazwali potem ludzie to pokrewne wilkom zwierzę — strzegł odtąd domu człowieka, nie opuszczał go w czasie wędrówek, pomagał w polowaniu, tropiąc i naganiając zwierzynę, i ostrzegał przed groźącym niebezpieczeństwem. Został prawdziwym i wiernym przyjacielem człowieka.

Rys. H. Przeździecka H. Zdżitowiecka



Niedaleko stąd mieszkali dwaj sąsiedzi — niedźwiedź Aba i koziół Kig. Nie wiem, kiedy i gdzie się zaprzyjaźnili, wiem tylko, że żyli ze sobą w przykładowej zgodzie. I wszyscy — od najtchórzliwszego zająca do najgroźniejszego tygrysa, wiedzieli, że Aba i Kig — to przyjaciele.

Wiedział o tym również i Jednooki — stary wilk. Ech, jakże nie podobala mu się ta przyjaźń! Miał on ogromną chętkę na Kiga, a wiedział dobrze, że Aba nie pozwoli skrzywdzić swego przyjaciela.

Zamyślił się Jednooki: jakby pokłócić przyjaciół? Myślał, myślał i nic nie wymyślił.

Zawołał Jednooki na pomoc lisa.

— Widzisz tę fajkę? — zapytał.

— Widzę — odpowiada lis.

— A więc, zanim wypalę pięć takich fajek, musisz wymyślić, jak pokłócić ze sobą Abę i Kiga. A jeżeli

(bajka)

nie wymyślisz, oderwę ci ogon. Przyda się do zamiatania chaty.

Złakł się lis. Już trzy fajki wilk wypalił, a on nic nie wymyślił. A kiedy zapalił czwartą — wymyślił. Wysłuchał Jednooki lisa i roześmiał się zadowolony.

— Zuch z ciebie, lisku! Możesz już iść do domu. A twój ogon wezmę sobie na pamiątkę!

— Oj, oj, oj! Wspaniałomyślny wilku, nie czyn tego! — zaskomlał lis. — Nie okrywaj mnie hańbą na całą tajgę!

— Nigdzie nie znajdę lepszej miotki! — wrzasnął wilk, oderwał lisowi ogon i wygnał go z chaty.

Minął dzień, a może i dwa. Spotkali się przy rzece Aba i Jednooki. Przywitał się Jednooki z niedźwiedziem, wypalił z nim fajeczkę i nagle westchnął, ale tak ciężko, tak głęboko, że Aba zapytał:

— Co tobie jest?

Zafrasował się wilk:

— Ach, Aba! nie o siebie się martwię, a o ciebie! Taki jesteś piękny, taki mądry, a musisz umierać...







Aż podskoczył Aba z przerażenia.

— Coś ty wymyślił takiego, co?  
Niech umierają ci, co są słabsi i głupszy ode mnie.

Jednooki znowu westchnął:

— Ach, Aba, Aba! Czyż silni nie umierają? Och, Aba, Aba! szkoda mi ciebie!

Rozgniewał się Aba:

— Ej, Jednooki! Opowiadaj mi tu zaraz, co wiesz?!

— Nie chciałem cię, Aba, denerwować, ale już dobrze, słuchaj! Czy to prawda, że tej nocy będziesz obchodził swoje urodziny?

— Tak, będę.

— Czy to prawda, że na tę uroczystość zaprosiłeś wszystkich twoich krewnych?

— Tak, zaprosiłem. No i co z tego?

— Poczekaj, Aba, zaraz się dowiesz. Powiedz, kogo zaprosiłeś na urodziny prócz krewnych?

— Kogo? Mojego najlepszego przyjaciela, Kiga!

— Tak, tak... to bardzo dobrze. A czym myślisz przyjąć gości?

— Czym? Mięsem, mięsem ich przyjmę!

— Tak, ale to mięso jest zatrute.

Zdumiał się niedźwiedź, aż mu fajka z gęby wypadła.

— Co?! Zatrute? A kto go zatrul? Powiedz! Połamię mu wszystkie żebra.

— Nie, Aba! Tego ci nie mogę powiedzieć! Idź prędko do domu. Zamień zatrute mięso na świeże i śmiało podaj na stół. Ten, kto nie będzie chciał jeść — jest twoim wrogiem.

Późnym wieczorem z dalekich lasów i pobliskiej tajgi przybyli goście do chaty Aby. Usiedli za stołem. Wesóło spoglądają na przyjęcie. Aba zajął miejsce gospodarza, odłożył fajkę i mówi:

— Drodzy goście! Czas już wziąć się do jedzenia! Ciociu, jaki tobie kawałek położyć?

— Zjadłabym kawałeczek świeżego baraninki!

— A co podać wam, kochane siostrzyczki?

— Nam, braciszku, daj po takim większym kawałku koźliny!

— A ciebie, szanowny dziadku, czym można ugościć?

— Cielećką, wnuku, cielećką! Przyszła kolej i na Kiga.

— Mój wierny przyjacielu, jakim kąskiem mam ciebie ugościć?

Zmieszał się Kig:

— Nie zwracaj uwagi na mnie, kochany Aba, jestem zupełnie syty. Niedźwiedź nastawił uszu.

— O, niedobrze, sąsiedzie, wszyscy jedzą, tylko ty jeden wymawiasz się. Powiedz, jakie mięso najlepiej lubisz?

Kig jeszcze bardziej się zmieszał.

— W dzieciństwie dałem słowo swojej matce, że nigdy nie spróbuję mięsa.

— Aha, to tak! — nieoczekiwanie zaryczał Aba. — Ach, zdrajca! Naturalnie, po cóż masz próbować mięso, które tyś sam zatrul! Ej, drodzy goście! Nie pozostało nam ani kawałeczka koźliny! Łapcie tego koziolka! Dawajcie go tutaj na stół!

Niedźwiedzie rzuciły się na Kiga. Nie wiem już, w jaki sposób uciekł on z chaty i nie oglądając się pognął w tajgę.

Zauważyłeś pewno, że gdziebyś nie poszedł, wiatr jest zawsze tuż, tuż. Taki już on jest od urodzenia: wszystko słyszy, o wszystkim wie. Tak było i wówczas. Przelatywał wiatr koło chaty wilka, przysiadł przypadkiem koło pieca kapcie sobie poprawić i usłyszał rozmowę wilka z lisem. Postanowił wiatr dać nauczkę staremu zabijace.

A Jednooki na próżno czasu nie tracił, przyczał się pod ogromnym drzewem i czeka. Słyszy, ktoś bieg-

nie, biegnie, tylko kopytka o ziemię postukują.

— No, kolacja się zbliża! — obliżał się wilk i przygotował do skoku.

Ale wiatr nie spał. Zatańczył, zagwizdał i z całej siły uderzył w spróchniałe drzewo. Drzewo zachwiało się i przewaliło na wilka.

Na drugi dzień z rana przyszedł do Aby Bezogoniasty lis. Oj, płakał, płakał, oj, łajał siebie, łajał, oj prosił, błagał Abę o obronę przed Jednookim.

Trzeba ci było widzieć, jak się Aba rozwściekił. Jego, najsilniejszego, najmądrzejszego — tak strasznie oszukali. Rzucił się na lisa, że ledwie uciekł Bezogony!

Zawołał Aba wiewiórkę i mówi:

— Biegnij, a prędko, w tajgę, znajdź tam mojego przyjaciela Kiga i powiedz mu, że chcę się z nim znowu przyjaźnić.

Wysłuchał Kig wiewiórkę.

— Nie — powiedział. — Nigdy już nie będzie między nami przyjaźni! Ten, kto uwierzył pierwszemu spotkanemu więcej niż swojemu przyjacielowi, nie zasługuje na przyjaźń!

No i od tej pory nikt nigdy nie widział więcej niedźwiedzia i kozła razem.

wg A. Antokolskiego  
opr. K. P.

Rys. W. Zawidzka







# DUJE WIAŁR

Muzyka: Zofii Romel

słowa: J. Porazińskiej



1.2.3. Du - je, du - je wiatr w kominie, na - rze - ka, na - rze - ka: „Przez te pola



dro - ga no - cą, da - le - ka, da - le - ka. 4. „Mam ja, mam ja w ko - le - bec - ce pie -



5. „Wia - terkowi darn fa - ła - tek po -  
rzy - nę, pie - rzy - nę, wia - ter - ko - wi  
du - si, po - du - si, Nie płacz, ... choć do



zimne no - gi o - wi - nę, o - wi - nę. gu - si  
ko - le - bec - ki ja - gu - si, ja -

1. Duje, duje wiatr w kominie,  
narzeka, narzeka...  
— Przez te pola droga nocą —  
daleka, daleka.
2. Oj, naszarpię ja tej starej  
kapoty, kapoty...  
Przez te chruśty, przez przełazy,  
przez płoty, przez płoty.
3. Oj, zamoczę chude nogi  
w bajorze, w bajorze...  
Spać się kędyś w zimnej bruździe  
położę, położę.
4. — Mam ja, mam ja w kolebeczce  
pierzynę, pierzynę...  
Wiaterkowi zimne nogi  
owinę, owinę.
5. Wiaterkowi dam fałatek  
podusi, podusi...  
Nie płacz, chodź do kolebeczki  
Jagusi, Jagusi.

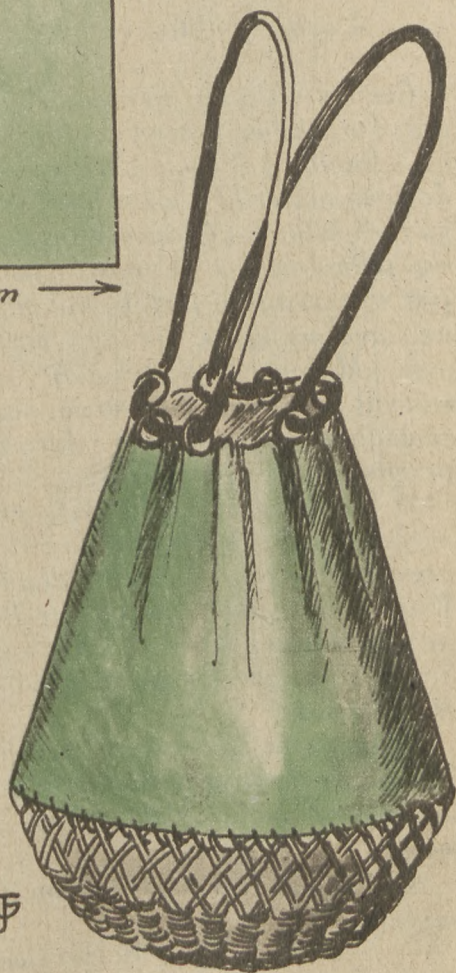
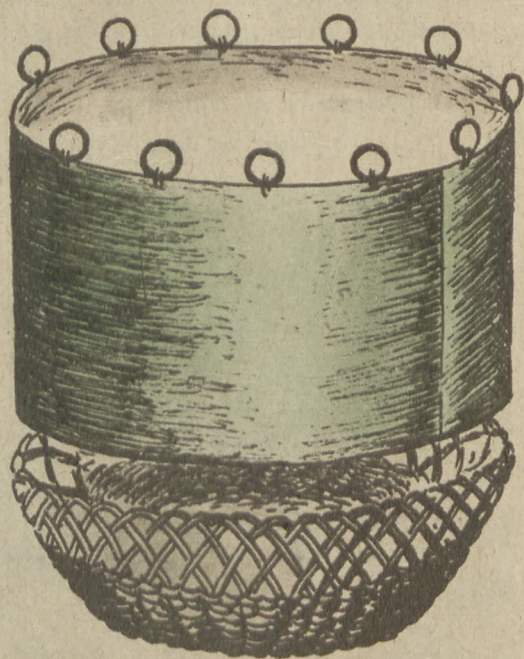
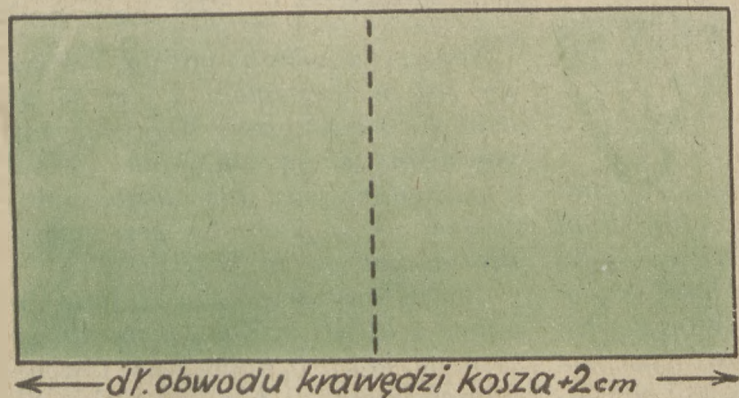
J. Porazińska



# ZNALAZŁ SPOSÓB







### TORBA NA ZAKUPY

Do zrobienia tej torby potrzebny jest prostokątny kawałek płótna, kilka metalowych kółek i koszyk od chleba.

Górny brzeg płótna należy starannie obrębić, po czym przyszyć do niego kółka. Przez te kółka prze-wleciesz dwa wąskie paski płótna,

tasiemkę lub sznurek. Do górnej krawędzi kosza przyszyj ścięciem okrętkowym dolny brzeg płótna, również przedtem obrębiony.

A może umiesz haftować? Pięknie wyglądałaby ta torba ozdobiona ładnym kolorowym wzorem.

J. G. T.



Kochany „Płomyczku“!

Czarna Wieś jest to osada robotnicza. Tartak bez przerwy piłuje deski na odbudowę Polski, a leśne kolejki dowożą materiał z głębi lasu. W ciągu tych kilku lat Czarna Wieś bardzo się odbudowała. W naszej osadzie jest stacja, młyn, tartak, kolejki leśne, nadleśnictwo, gmina, posterunek „Milicji Obywatelskiej”, Podstawowa Szkoła 7-klasowa, szkoła zawodowa, szkoła dla dorosłych, przedszkole i spółdzielnia.

W szkole płynie nam życie pracowicie i wesoło. Należymy do różnych organizacji: do „Kola Odbudowy Warszawy”, „Kola Obronców Pokoju”, „Szkolnej Kasy Oszczędności”, do „Kola Czerwonego Krzyża”, do Harcerstwa.

Mamy też Samorząd Klasowy. Teraz przeprowadzamy zbiórkę złomu, który przyda się naszemu państwu.

Serdecznie Cię pozdrawiam, „Płomyczku“.

Grażyna Reizerówna  
Czarna Wieś k. Białegostoku

Kochany „Płomyczku“!

Nasza klasa III a Szkoły Podstawowej nr 1 w Rypinie zdobyła pierwsze miejsce w zbiórce na odbudowę Warszawy. Zebraliśmy 3600 zł. Wszyscy pragną zobaczyć nowoobudowaną Stolicę, również Redukcję

„Płomyczku“, ale od nas do Warszawy jest bardzo daleko i podróż będzie dużo kosztować. Więc zorganizowaliśmy akcję zbierania żołądź i kasztanów. Gdy dużo nazbieramy, sprzedamy, a pieniądze przeznaczymy na podróż do Warszawy.

Podjęliśmy współzawodnictwo w nauce z kl. III b. Zorganizowaliśmy w naszej klasie Szkolną Kasę Oszczędności. Niektóre dzieci mają już dużo oszczędności na swoich książeczkach.

Wiśniewska Barbara, kl. III a,  
Szkoła nr 1 w Rypinie.





# NOWE KSIĄŻKI



## WARUNKI PRENUMERATY

Prenumerata: u listonosza lub na poczcie miesięcznie 1 zł 20 gr, kwart. 3 zł 60 gr.

Prenumeratę należy wpłacać przed 20 każdego miesiąca na miesiąc (kwartał) następny na konto PPK „RUCH”, PKO V-6711 „Płomyczek”.

Pojedynczy egzemplarz kupowany u sprzedawcy kosztuje 45 gr. — Wszelką korespondencję w sprawie prenumeraty należy kierować pod adresem: PPK „Ruch”, Dział Prenumeraty Pocztovej, Poznań, ul. Grunwaldzka 19.

ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 4.

Redaktor: STANISŁAW ALEKSANDRZAK. Kierownik artystyczny: K. M. SOPOCKO.

Wydawca: Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”.

Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca.

Zakłady Graficzne Im. Marcina Kasprzaka w Poznaniu — K-1-26032 — 3976/X/60



# 222 CHWILĘ POMYSŁ 222

## ŁAMIGŁÓWKA



Przerysuj dokładnie sylwetkę kotka, wytnij i spróbuj tak go umieścić w kwadracie między kresekami, aby żadna z nich nie przekreślała kotka.

## ZAGADKA

Jak ten majster się nazywa, który zimą u nas bywa i potrafi bez przeszkody w gładkie tafle zmienić wody.

## ROZWIĄZANIA z nru 11:

### Zadanie 1

|   |   |   |
|---|---|---|
| 2 | 3 | 1 |
| 1 | 2 | 3 |
| 3 | 1 | 2 |

### Zadanie 2

|  |  |  |
|--|--|--|
|  |  |  |
|  |  |  |
|  |  |  |

rebus — Plan Sześćioletni. Z nru 12: 1. rzeka; 2. słońce i noc; 3. rok, miesiące, tygodnie i dni; rebus — burak cukrowy.

## ATO ciekawe

Już nie kilof w ręku człowieka — lecz maszyny pracują przy wydobywaniu węgla.

Praca górnika obsługującego kombajn polega jedynie na dozorze maszyny, która wrębuje się w ścianę węglową, kruszy wielkie bryły węgla i sama ładuje go na wagoniki.

Plan Sześćioletni przewiduje na rok 1955 sto milionów ton rocznej produkcji...

Z pomocą kombajnów, które otrzymujemy ze Związku Radzieckiego i maszyn naszej krajowej produkcji — plan ten zostanie wykonany.

